

# KONINIANA

MIESIĘCZNIK Towarzystwa Przyjaciół Konina

12-18 lipca 2005 r.

NR 7 (28)

1. Z kart przeszłości – ciekawostki z dawnej prasy konińskiej
2. Ze wspomnień – przedruk fragmentów pamiętników i wspomnień
3. Z dziejów Konina – artykuły o treściach historycznych, archiwalia
4. Tworzyli wizerunek miasta – sylwetki ludzi zasłużonych dla miasta
5. Naszym zdaniem – wypowiedzi na aktualne tematy dotyczące rozwoju miasta
6. Inspiracje kulturalne – poezja, proza, rysunek konińskich twórców
7. Z życia TPK – zapowiedzi i sprawozdania z imprez, konferencji, zebrań
8. Barwy codzienności – podpatrzone fotoobiektywem obiekty w mieście
9. Odpowiedzi redakcji



## Przemili – dylematami urlopowej pogody dręczeni – Czytelnicy

Miało być wakacyjnie, na luzie, bezproblemowo, ale ambicje naszych redaktorów są nie do okiełznanania. W związku z czym będzie trochę wspomnień historycznych, poważnych autorstwa Janusza Gulczyńskiego. Dużo wspomnień sentymentalnych Marylki Cieślak – którą serdecznie witamy na łamach. Natomiast klimat liryczny, swoim planowanym cyklem „poetyckie zamyślenia”, zapewni Danusia Olczak. Przedrukujemy obszerny fragmenty opowiadania „Kupałnoka” z „Konińskich świętań” Zygmunta Kowalczykiewicza. Natomiast Włodzimierz Kowalczykiewicz (młodszy) zachęca do odwiedzenia zakątków Ziemi Konińskiej, które niedługo już staną się jeziorem („Młyn na Golance”). Piotr Rybczyński pisze o wystawie dokumentującej potop szwedzki na ziemiach konińskich. Zachęcam również do zapoznania się z notatkami Ryszarda Grundmana o niezidentyfikowanych obiektach latających. Wszak piktogramy kosmiczne (!) dotarły nawet w zeszłym roku do Lichenia. A w słynnym już Wylatowie zainstalowano przeróżne urządzenia techniczne, aby wreszcie schwytać na gorącym

uczynku „buszujących w zbożu zielonych ludzików”. Janek Sznajder przypomina postać niezrównanego regionalisty i gawędziarza Zygmunta Pęcherskiego (pisał już o nim w nr. 3 „Konińnianów” Janusz Gulczyński). Natomiast w felietoniku „Pochwała starości” dodaje ducha nie tylko Janek Sz. (zamierzona złośliwość), ale przede wszystkim sobie. Jeżeli komuś jeszcze również pomoże, będzie mi bardzo miło.

### Serdeczne pozdrowienia wakacyjne mogą jedynie przesłać z konińskiej Starówki Stanisław Sroczyński

PS Odznaką Towarzystwa Przyjaciół Konina uhonorowaliśmy w czerwcu dwoje artystów muzyków po koncercie w Ratuszu (niech żaluje kto nie był) Pana L. Dawidsona oraz jego żonę Irenę Czubek

PS Tak się złożyło, że ten numer „Konińnianów” był już praktycznie zamknięty i gotowy do druku, gdy dotarła do nas ta niezmiernie smutna i tragiczna wiadomość – po ciężkich cierpieniach zmarł Lech Hejman. Był jednym „z ojców założycieli” naszej gazety i nie było wydania bez Jego artykułu. W tym wydaniu jest, niestety, tylko tytuł zamierzonej wypowiedzi Leszka.

## LECH HEJMAN

# „DLACZEGO WYBRAŁEM KONIN”

Nigdy nie dowiemy się już, dlaczego Leszek wybrał Konin, aby za-



człowiek, ale tak bardzo rzetelny i uczciwy. Nigdy nie odmówiłeś żadnej prośbie, choć ostatnio z coraz większym trudem siadałeś przed komputerem. Twoje eseje były zawsze perfekcyjnie przemyślane i dopracowane, jak zresztą na polonistę przystało. Kochałeś to miasto i w swoich felietonach robiłeś wszystko, aby i inni poznali jego historię i również je pokochali. Takiego będziemy

jak Ci pamiętać - spoczywaj w pokoju.

Wstrząśnięci śmiercią Leszka Hejmana kierujemy wyrazy szczerego współczucia do Żony, Dzieci i najbliższych.

Łączymy się z Wami w smutku Redakcja: „Konińnianów”

## Z cyklu: Poetyckie zamyślenia



# Spotkanie z życiem

Co ma do zaoferowania nasz świat oprócz cierpienia, prób, doświadczeń, niepewnego jutra? Ma nas - ludzi, którzy swoją obecnością nadają wszystkiemu sens. Życie to nieustanny ruch wpisany w cztery pory roku. To zachwyt, ból, uśmiech, dręczący niepokój, cudowna cisza, bezradność, wytyczenie celu. Żyć - to rozwijać się, zmieniać, ale przede wszystkim dojrzywać wewnętrznie.

Uważnie obserwuję życie. Wszystko, cokolwiek się dzieje, składa się z pewnych etapów. Zawsze jest jakieś „na początku”, „potem” i „na końcu”. To tylko kwestia czasu. Znajdaj początek czegoś, raczej nie jesteśmy w stanie przewidzieć, co będzie potem, a już szczególnie odgadnąć zakończenia. I jest w tym jakaś prawdziwość. Bo życie nie daje nam gotowych scenariuszy. Daje pomysły. Dokładny scenariusz jest pisany po-

woli, dzień po dniu. Czy chcemy, czy nie chcemy, uczestniczymy w tym. Często kolejne karty życia mijają się z naszymi oczekiwaniami. Co wówczas? Jedni buntują się, są wściekli i za wszelką cenę szukają winnego. Inni zamykają się w sobie, czując się wręcz ofiarami. Jeszcze inni próbują się jakoś pozbierać, wyciągają wnioski, zabarwiając je własną filozofią. Ktoś przestaje ufać sobie i życiu, ktoś przechodzi bolesną transformację i budzi się na nowo zupełnie odmieniony. Udo- wodniono, że każdy człowiek w danej sytuacji zareaguje inaczej. Wynika to z jego inności i przeżytych doświadczeń. Jedno jest pewne. Cokolwiek się dzieje - życie toczy się dalej!

Co zatem zrobić, aby to pisanie scenariusza codzienności miało sens? Jak powiadają niektórzy, nadmierny wysiłek jest tak samo szkodliwy jak bezczynność i zniechęcenie. Gdzie więc jest ten „złoty środek”, równo-

waga, klucz do problemu? Niestety nie ma gotowych recept na szczęście i sens życia oraz rozwiązań jednakowych dla wszystkich. Chociaż, kto wie? Jest coś... Oto pewna sentencja: *Każdy kryzys jest kierunkowskazem do naszego „ja”, do naszej prawdziwej osobowości.* I jeszcze jedna, trochę trudniejsza: *Wszystko, cokolwiek się dzieje, służy wyłącznie naszemu dobru.* Tak, kryzysy nas nie omijają. Prawdziwą sztuką życia jest wyjść z nich zwycięsko!

Szukanie swojego miejsca to indywidualne zadanie każdego z nas. Czy świadomość, że uczestniczymy w czymś ważnym, ma tu jakieś znaczenie?

A świadomość, że klęska wcale nie musi jej oznaczać i po raz trzeci świadomość, że jesteśmy nieszczęśliwi na tyle, na ile sobie pozwolimy - wystarczy? Jeżeli nie, trzeba nieustannie pytać samego siebie o sens i cel

życia. Pytać samego siebie... W Biblijnej Księdze Koheleta czytamy: *Wszystko ma swój czas i jest wyznaczona godzina na wszystkie sprawy pod niebem.* Życie naprawdę to potwierdza.

Każdy z nas przychodząc na ten świat otrzymał „swoją ogród” do uprawy, drogę – którą musi przebyć, lzy, które musi wypłakać i radość, którą musi wypełnić serce, a potem podzielić ją z innymi. Zycmy sobie powodzenia!

Któregoś dnia podczas poetyckiego zamyślenia, napisałam:

*Życie – to bezkresny ocean a zdarzenia to fale obmywające brzeg czasu*

*każdego dnia są inne bo nic nie jest takie samo...*

Danuta Olczak

# O. Maksymilian Tarejwo

(„Sztandary powstańcze”)



Jest kawałek dobrej poezji w tej akurat chwili, kiedy Andrzej Warzecha (jeden z moich ulubionych krakowskich poetów) wchodzi nagle nogami na stół w knajpie

„Pod Gruszką” (róg Rynku Głównego i Szczepańskiej), tam, gdzie zbierają się dorożkarze, uliczni klezmerzy i różnej maści artyści (np. Kiejstut B. przybrany w kolejarski mundur). Tak więc staje Andrzej Warzecha na stole i tutaj, z wysokości zaczyna recytować swoje „Sztandary powstańcze”:

*Co to ma znaczyć  
pytali uczniowie  
gdy na skrzydłach Białego Orła  
pojawiła się nagle  
strużka krwi*

*Pamiętacie Ojca Pio  
któremu Bóg skaleczył dłońie  
niewidzialnym gwoździem  
i otwierając jego skórę  
otworzył oczy gapiom  
zapytał uczniów nauczyciel*

– A wiesz, Andrzeju, jest w moim Koninie na miejskich blianiach ogromny krzyż, w miejscu, gdzie 19 lipca 1864 roku Moskale powiesili powstańca – zakonnika, ojca Maksymiliana Tarejwę. Kiedy często przechodzę tamtą stroną, wydaje mi się, że to właśnie ręce i nogi ojca Tarejwy przybite gwoździem wiszą na tym krzyżu. A zimą, że kropki krwi spadają wprost na ziemię, i śnieg jest w tym miejscu biało-czerwony.

**Kraków, Konin - późna zima, wczesna wiosna 2001.**

Utwór z tomu wierszy „Ulica Kolska i inne okolice”, Konin 2002.

**Janusz Gulczyński**



# Jest taka szkoła

*„A kiedy włosy szron mocno pokryje  
Zaś zmarszczki gęsto twarz mi przyrozdobią  
Powrócę myślą do mej drogiej szkoły...”*

Tak planowałam uczynić, pisząc kiedyś słowa hymnu Zespołu Szkół Zawodowych im. M. Kopernika w Koninie i myślę, że chyba teraz naszedł czas na wspomnienia.

A dlaczego teraz?

Po pierwsze, warunki wymienione w tym fragmencie hymnu zostały spełnione. Czas płynie szybko, pamięć potrafi płatać figle. Po drugie, niedawno miałam okazję wspominać Zasadniczą Szkołę Zawodową z absolwentami, których kiedyś uczyłam fizyki. Od tamtych czasów w ich życiu zmieniło się dużo. Uzupełnili średnie wykształcenie, ukończyli studia wyższe i dziś z dumą mówią o własnych firmach, warsztatach rzemieślniczych, o pełnieniu odpowiedzialnych funkcji w przemyśle, handlu, o swoim udanym życiu rodzinnym. Są doskonałymi w swoim zawodzie, ponieważ wybrali, z różnych powodów, dłuższą drogę edukacji.

Ze wzruszeniem wspominałam swoją starą szkołę przy ul. Dąbrowskiego, skromne warsztaty, w których odbywali naukę zawodu. Ciepło wspominali konińskich rzemieślników, handlowców, zakłady pracy (z którymi współpracowała szkoła), ponieważ przekazywali młodzieży nie tylko wiedzę, doświadczenie, ale również rzetelność, zamiłowanie do zawodu i pasję.

Musiło minąć kilka lat, bym bez emocji, z pewnym dystansem umiała spojrzeć na swój 30-letni okres pracy w szkolnictwie zawodowym. Coraz chętniej wspominałam ludzi, sukcesy, radosne chwile, natomiast kłopoty, problemy nie budzą już żadnych emocji i odchodzą w zapomnienie.

Pracę w Zasadniczej Szkole Zawodowej zaproponował mi w 1970 roku ówczesny dyrektor tej placówki p. Stanisław Splawski - wspinał się, życzliwy przyjaciel młodzieży i nauczycieli.

Posiadałam już za sobą 10-letni staż w szkołach podstawowych. W nowej szkole czekała mnie praca z dorosłą młodzieżą, realizowanie nowych programów nauczania, zupełnie inne problemy wychowawcze. W tej szkole sporą grupę stanowili uczniowie dojeżdżający na zajęcia z małych miejscowości i odległych wsi. Czasem wybór tej szkoły był dla młodych ludzi koniecznością jednoczesnego podjęcia nauki i pracy, by jak najszybciej zarabiać pieniądze na własne utrzymanie, rodziców i rodzeństwa.

Zdziwiona byłam, jak wielu uczniów rozpoczynało naukę z wysoką średnią na świadectwie ukończenia szkoły podstawowej, chcących się nauczyć zawodu swoich rodziców: stolarz, kowal, fryzjer, fotograf, mechanik samochodowy, kucharz, by jak najszybciej przejąć warsztaty i kontynuować tradycje rodzinne. Znamy przecież w Koninie

nie wiele takich rodzinnych firm.

Szkoła zawodowa, do której trafiłam, mieściła się wtedy przy ul. Dąbrowskiego, a lekcje odbywały się na zmiany w kilku salkach w dwóch małych budynkach.

Wprawdzie nie było tu ani sali gimnastycznej, ani boiska z prawdziwego zdarzenia, ale nie przeszkadzało to młodzieży w zdobywaniu czołowych miejsc w piłce nożnej, pływaniu, jeździe szybkiej na lodzie, nawet na centralnych zawodach. Nie było świetlicy, ale życie kulturalne rozwijało się znakomicie. Młodzież bawiła się w teatr, istniały grupy wokalne, taneczne, bo takie było zapotrzebowanie na kulturę. Myślę nawet, że w tak trudnych warunkach sprawdzały się prawdziwe talenty pedagogiczne i wychowawcze.

Zajęcia z przedmiotów ogólnokształcących i zawodowych odbywały się w szkole 2-3 razy w tygodniu (w zależności od zawodu), natomiast nauka zawodu w pozostałe dni na szkolnych warsztatach lub w zakładach pracy. Stałym partnerem szkoły w działaniach dydaktyczno-wychowawczych był Cech Rzemiosł Różnych.

Rozpoczynając pracę z ciekawością przeglądałam stare kroniki szkoły, z których dowiedziałam się, że Zasadnicza Szkoła Zawodowa i Doksztalająca ma długą historię. Jej początki sięgają roku 1921, kiedy jako Kursy Doksztalające Rzemieślnicze kierowane przez p. Wacława Dybczaka, z siedzibą w budynku Szkoły Powszechnej przy ul. Kościelnej (obecnie Dom Parafialny), przygotowywały młodzież do zawodu.

W 1927 r. Kursy, przekształcone w Doksztalającą Szkołę Zawodową, przeniesiono do zachodniej części nowego budynku Publicznej Szkoły Podstawowej przy ul. Kolskiej i tam nowa szkoła do 1935 r. kierowana była przez p. Antoniego Kasprzaka, a następnie do 1939 r. przez p. Józefa Rybarskiego.

Zaraz po wojnie działalność Publicznej Szkoły Doksztalającej wznowił p. Józef Rybarski, kierujący jednocześnie Szkołą Podstawową nr 2 przy ul. Wodnej, ponieważ dawny budynek szkoły przy ul. Kolskiej został w czasie działań wojennych zniszczony. W 1953 r. oddziały Publicznej Szkoły Doksztalającej przeniesiono do budynku przy ul. Dąbrowskiego 3, które wcześniej zajmowała Techniczna Obsługa Rolnictwa, a kierownictwo nad nią objął p. Walerian Streker do roku 1955.

Zasadnicza Szkoła Zawodowa i Zasadnicza Szkoła Doksztalująca pozostały w tym budynku do 1975 r. Kolejno kierowali nimi: p. Jan Lembowski (1955-1967) i p. Julian Stępień (1964-1967), p. Mieczysław Chojnacki (1967-1970) i p. Julian Stępień (1967-1970). W 1970 r. sta-

nawo dyrektora obu szkół powierzono p. Stanisławowi Splawskiemu.

30 września 1975 dokonano połączenia Zasadniczej Szkoły Zawodowej i Doksztalującej, liczącej już 40 oddziałów i 1439 uczniów, z Technikum Mechaniczno-Elektrycznym z 16 oddziałami w duży, jeden z największych w Polsce Zespół Szkół Zawodowych im. Mikołaja Kopernika w Koninie.

Technikum Mechaniczno-Elektryczne działało już od 1961 roku pod kierownictwem p. Aleksandra Kozłowskiego, korzystając początkowo z pomieszczeń Liceum Ogólnokształcącego, później Szkoły Podstawowej nr 6, a od I.IX.1964 wprowadziło się do własnego budynku przy Alejach 1 Maja 22. Uczniowie tej szkoły odbywali zajęcia praktyczne w Hucie Aluminium, Elektryczni, KZN i innych zakładach Konina.

Kierowanie Zespołem powierzono p. Stanisławowi Splawskiemu. Powstanie Zespołu Szkół było ważnym wydarzeniem w życiu obu placówek a także miasta, które stało się stolicą województwa. Utworzenie Zespołu to nie tylko połączenie młodzieży zdobywającej wiedzę na różnych poziomach kształcenia, nauczycieli we wspólne grono pedagogiczne, ale również integracja działań dydaktyczno-wychowawczych i wypracowanych dotąd przez wiele lat bogatych tradycji, ceremoniałów szkół.

Jeszcze dziś z wielkim wzruszeniem myślę o mądrych nauczycielach, którzy tak szybko, z życzliwością zaakceptowali się wzajemnie i stworzyli wspinałe grono pedagogiczne.

Po odejściu p. Stanisława Splawskiego kierowanie placówką w latach 1983-90 powierzono p. Tadeuszowi Pawlakowi, a później w latach 1990-95 p. Wojciechowi Jaskólskiemu. Od 1995 Zespołem Szkół kieruje p. Tomasz Kucharczyk. W tym czasie szkoła przeszła wiele zmian dotyczących profilu kształcenia, liczby oddziałów itp.

Minęło wiele lat, odkąd rozpoczęłam pracę w zawodzie nauczycielskim, zaledwie kilka od chwili odejścia na emeryturę. Nigdy nie zapomnę nauczycieli, na których przyjaźń i życzliwość zawsze mogłam liczyć.

Z prawdziwą sympatią wspominałam uczniów, dziś absolwentów, rodziców, którzy sprawili, że życie moje miało głęboki sens, a którym oddałam cząstkę mego serca.

Nic dziwnego, że często wchodziłam do szkoły, by porozmawiać choć przez chwilę z moimi przyjaciółmi, „pooddychać” tą wyjątkową atmosferą stworzoną przez młodzież i nauczycieli, nad którymi czuwa duch wielkiego Astronoma.

**Maria Cieślak**



Stary krzyż – reprodukcja ze zbiorów H. Lechtańskiego



zaj-RAD



## Ogniem nieprzyjacielskim zgorzały...



W bieżącym roku mija 350 lat od najazdu

szwedzkiego, potocznie nazywanego „potopem”. W burzliwych dziejach naszej Ojczyzny miało później miejsce tak wiele tragicznych wydarzeń, że z czasem odsunęły one na dalszy plan narodowej pamięci dramat sprzed stuleci. Tymczasem wojna z lat 1655-1660 i jej skutki gospodarcze oraz demograficzne stanowią jeden z punktów zwrotnych w historii kraju. Także w historii miasta Konina, które na wiele dziesięcioleci pograżało się po tej wojnie w regresie gospodarczym.

Wobec groźby ataku szwedzkiego Wielkopolska była zupełnie nieprzygotowana do obrony, a co gorsze brak było woli walki. Z trudem zebrane popólne ruszenie szlacheckie w liczbie ok. 13 000 ludzi, wraz z tysiącem jazdy zaciężnej i 1400 ludźmi piecho-

ty lanowej, na przełomie czerwca i lipca 1655 r. stanęło obozem pod Ujściem.

Pod nieobecność generała wielkopolskiego dowodził wojewodowie: poznański – Opałiński, i kaliski – Grudziński. Wkrótce z Pomorza nadciągnęły pod Ujście również wojska szwedzkie w sile ok. 17 tys. ludzi. Dowodzone przez feldmarszałka Arvida Witenberga, składały się z doskonale wyszkolonych i wyposażonych żołnierzy, dla których wojna była profesją. Już pierwsze, drobne utarczki wykazały różnicę w przygotowaniu bojowym, a także zupełny brak planów obrony i jednolitego dowództwa sił polskich. Narastające zamieszanie i dezercje pogłębiały defetyzm, co w końcu doprowadziło do haniebnej kapitulacji i zdrady.

W dniu 26 lipca zawarto traktat, mocą którego województwa poznańskie i kaliskie oddały się w protekcję

królowi szwedzkiemu, w zamian za formalne poręczenie swobody wyznaniowej oraz zachowanie dotychczasowych praw i przywilejów szlacheckich.

Wielkopolska stanęła otworem przed Szwedami, którzy bez oporu poczęli ją zajmować. Witenberg, przez Poznań i Pyzdry, dotarł dnia 21 sierpnia do Konina, zajmując zamek królewski. Jednocześnie w połowie sierpnia w granice Rzeczypospolitej wkroczył osobiście król Karol Gustaw wraz z pozostałą częścią wojsk szwedzkich, który przez Gniezno dotarł również do Konina. Tutaj Karol Gustaw w dniu 24 sierpnia zatwierdził niesławny traktat ujski. Następnie połączone wojska szwedzkie stanęły obozem pod Kołem, by w końcu skierować się dalej w kierunku Warszawy.

W ważniejszych ośrodkach, w tym również w Koninie, pozostawiono jed-

nak garnizony, które rozpoczęły systematyczny rabunek kraju. Ciężar okupacji, który rychło dotknął i dwory szlacheckie, spowodował narastający opór wszystkich warstw społecznych. Początkowo nieorganizowany, wkrótce przybrał formę walk partyzanckich.

Wiosną 1656 r. wojenna pożoga ogarnęła także Konin. Od dnia 1 maja oddziały powstańcze rozpoczęły oblężenie miejscowego garnizonu szwedzkiego, którego głównym punktem oporu był koniński zamek. Oblężenie trwało kilka tygodni, gdyż początkowo nie udało się złamać oporu Szwedów. Dopiero kiedy miejscowi powstańcy zostali wsparci przez oddział pułkownika Bałabana, z armii hetmana Czarneckiego, udało się pokonać najeźdźców.

Za zwycięstwo mieszkańcy Konina zapłacili jednak straszliwą cenę, gdyż w toku walk spłonęło praktycznie całe ówczesne miasto. Niedługo potem przedstawiciele konińskich mieszczan wnieśli do miejscowych ksiąg grodzkich relację o tym, co się wtedy wydarzyło. Ten bezcenny dla historii miasta dokument przetrwał i niedawno można go było zobaczyć na

okolicznościowej wystawie w konińskim archiwum państwowym. Zapisano w nim m.in. /.../ *ogniem nieprzyjacielskim zgorzało domów osiemdziesiąt i siedem, mielnicuchów ze zbożami i browarami dziewiętnaście, domków mansjonarskich gdzie księża mieszkali farnych dwa, domów zamkowych trzy, kościółek przy zamku św. Krzyża, młyn słodowy, browary dwa zamkowe, które browary i mielnicuchy, tak zamkowe jako i miejskie, z słodami i różnemi zbożami pogorzały. Na przedmieściu na Grobli domów dziesięć zgorzało, na przedmieściach dalszych rozebranych domów od nieprzyjaciela sześć...*

Dane zawarte w lustracji miasta z 1660 r. oddają rozmiary kataklizmu, który spotkał Konin w latach „potopu”. W mieście było zaledwie 25 domów, podczas gdy przed najazdem 127 i 4 karczmy. Z kilkudziesięciu rzemieślników pozostało zaledwie kilku, z 10 rybaków 2, z 30 sukienników tylko 3. Trzeba było półtora stulecia, aby Konin odzyskał dawny potencjał gospodarczy.

**Piotr Rybczyński**



## Kupalnocka

Słońce o letniej porze patrzy na nas spod zenitu, zimą zaś podgląda nisko nad horyzontu. Dwudziestego pierwszego czerwca w Polsce mamy najdłuższy dzień w roku wynoszący 16 godzin i 47 minut. Do spania zostało nam tylko 7 godzin i 13 min. Trudno te godziny nazwać nocnymi, bowiem po zachodzie słońca długo jeszcze jest widno i ci, co cierpią na bezsenność, oglądają pasek jasnej poświaty widoczny nad północnym horyzontem.

Zjawiska przyrodnicze zawsze fascynowały ludzką. W ich cyklicz-

nym porządku dopatrywano się sił nadprzyrodzonych. Ceremonie solarne znane są na wszystkich szerokościach i długościach geograficznych i we wszystkich religiach. Również u Słowian oddających cześć słońcu. Wiara w tego boga nie wygasła po chrystianizacji Polan. Jeszcze przez długie wieki Kościół walczył z ludową obrzędowością związaną z kultem słońca, ognia i wody. Bogów tych szczególnie czczono w okresach zimowych i letnich przesilen. Zwłaszcza w czerwcowe dni, kiedy ogień, będący na ziemi odpowiednikiem słońca, przymierzał się z wodą.

Słowo Kupalnocka to połączenie dwóch słów: kąpeli i nocy. Aby wy-

żyć się chorób, uroków i innych niebezpieczeństw, należało dokonać ablucji, a potem przeskoczyć ognisko dla wzbogacenia sił witalnych. Sobótka to dzień poprzedzający święto. Głęboko zakorzenione zwyczaje sobótkowe opierały się religijnym zakazom. Kiedy na nic zdały się klątwy kościelne, dopasowano wydarzenia biblijne do pogańskich wierzeń. W V wieku naszej ery dzień 24 czerwca został przypisany Janowi Chrzcicielowi i wraz z katolicyzmem przywdroł do nas w X wieku.

We współczesnym Koninie sobótkowe godziny miały charakter zabawy. Wody u nas wszędzie było dostatek, tako i łąk zielonych, przeto panny miały z czego pleść wianki, a potem swoimi zgrabnymi rączkami rzucać je na wodne tonie. Zanim to uczyniły, płaśły wokół ogniska roz-

palonego przez chłopczyszków. Tańce łamały niejedno kawalerskie serce i kiedy po zdjęciu z główki dziewczęce na fale wianek ciepło, tenże do wody chybkowo wskakiwał, by trofeum sercowe do domu swego zanieść. Zamieszanie przy tym było wiele, bowiem, jak to w życiu bywa, po wianeczek pięknotki więcej naraz chłopaków skakało, co też prowadziło do waśni.

Gdyby w czerwcowy wieczór losem ptasim unieść się nad miastem, wtedy by się zobaczyło wiele ognisk nad Wartą i jej rzeczykami. A przy nich multum ludzi w różnym wieku obarczonych wiktuałami i napitkami. Muzycznie utalentowani nieśli instrumenty, którymi do tańców przygrywali. Kiedy słońce szerokim łukiem dobiegło nad horyzont, coraz bardziej ramięniło się, patrząc na swawole mieszczuchów. Było pięknie i miło. Z

ognisk siwe dymy odpędzały wszelkie uroki, złe moce ludziom szkodzące, a iskry ku niebu wystrzeliwały ich nadzieje i życzenia.

Świętojanowa noc nie mogła obyć się bez wyprawy do lasu po baśniowy kwiat paproci. Do podkonińskich borów było dalej niż do wody i łąk, przeto młodzież na kilka kwadransów przed północą ognisko opuszczała, zostawiając przy nim bardziej statecznych koninian. Ponieważ poszukiwania czarodziejskiego kwiatu są przyjemniejsze we dwoje, tedy parami podążano do leśnych gęstwin. Zdarzało się, że niejedna panienka marszem nieco osłabiona na między przysiadła, a przy niej jej chłopak. Widząc ją drżącą od chłodu ramieniem ku sobie przygarniał i ustami kwiat paproci na wargach dziewczyny odnajdywał.

**Zygmunt Kowalczykiewicz**

## NIEZWYKŁE WYDARZENIA

# Lotnictwo wojskowe a UFO

**Ze zjawiskiem Niezidentyfikowanych Obiektów Latających (NOL) spotykano się od wieków, ale dopiero po zakończeniu II wojny światowej zarysował się zdumiewający przyrost informacji o tych tajemniczych obiektach. Wytworzyło się nawet przekonanie, że wszystkie te zjawiska są dziełem sił pozaziemskich, choć nie ma pewnych dowodów na potwierdzenie takiego poglądu.**

Nie zmienia to faktu, że naukowcy ostatniego słowa jeszcze nie powiedzieli, próbując odkryć istotę obserwowanych zjawisk, jak dotąd bez jednoznacznych wniosków. Polska nie stanowi pod tym względem wyjątku. Nad obszarem naszego kraju zaobserwowano wiele przypadków pojawiania się różnych obiektów, najczęściej w porze nocnej. Część tych zjawisk wyjaśniono, obalając różne wymysły świadków, którzy dali się ponieść własnej wyobraźni. Inne zaś pozostały do dzisiaj zagadką. Piloci wojskowi również zetknęli się z tym osobliwym zjawiskiem, ale podchodzili do niego bardzo krytycznie, choć niektóre obiekty - jak twierdzą - sprawiły niesamowite

wrażenie i było trudne do wytłumaczenia nie tylko ich pojawienie się, ale i zachowanie. Ci piloci, którzy zetknęli się z NOL-ami, mówią, że coś w tym musi być.

Takich ciekawych spotkań z NOL-ami można przeczytać dziesiątki. Kończyły się one jednakowo - materiałów nie składano w jedno miejsce, po prostu z czasem znikaly do prywatnych zbiorów - ginęły. Powyższy artykuł celowo zatytułowany został prowokująco, aby sugerował, że wojsko dostrzegło w UFO problem, którym się zajmuje lub powinno zająć. Ale nie o to chodzi. Znam problemy przyziemne, z którymi wojsko boryka się na co dzień i nie musi ono szukać

dotychczasowych atrakcji w poszukiwaniu rozwiązań pochodzenia NOL-i. Spotkaniem z NOL-ami interesują się tak w cywilu, jak i w wojsku tylko pojedyncze osoby - amatorzy i nie ma to charakteru naukowego. W latach 80., gdy pracowałem na stanowisku szefa Służby Ruchu Lotniczego, doszliśmy do porozumienia z byłym szefem lotnictwa płk. J. Topolnickim, aby wszystkie wpływające meldunki o NOL-ach były składane do jednej tełki zdeponowanej u niego. Do mojego odejścia ze sztabu WLOP uzgodnienia te funkcjonowały. Obecnie nikt jednoznacznie tym tematem się nie interesuje, a szkoda. Wyznaczenie miejsca gromadzenia informacji - meldunków

o NOL-ach nie wymaga żadnych kosztów ani wysiłku, a byłoby to krok do poważnego potraktowania osób składających meldunki. Ponadto w przyszłości komuś materiały te mogą okazać się przydatne. Z drugiej strony, poważne potraktowanie, bądź co bądź głębokich przeżyć osób spotykających NOL-e, przełamie opory i pobudzi do nieskrępowanych wypowiedzi i przekazania informacji ukrywanych przed otoczeniem w obawie ośmieszenia. Należy oficjalnie poprzeć założenie, że jeżeli czegoś nie możemy pojąć własnym rozumem, to wcale nie znaczy, że tego nie ma. Trzeba wyjść na-

przeciw temu, co i tak się dzieje bez naszej wiedzy i udziału.

**płk dypl. pil. w st. spocz.  
Ryszard Grundman**



Taki sobie felietonik...

## Pochwała starości czyli nieco smutnawej filozofii

Coraz częściej mam wielką ochotę protestować przeciwko obiegowemu powiedzeniu, że starość nie udala się Panu Bogu – aczkolwiek przyznaję, że jeszcze do niedawna byłem gotącym tej tezy zwolennikiem. I choć w wielu zakątkach świata starcy otaczani są zasłużoną być może estymą – to w innych podobno

mówią, że starość nie ma patentu na mądrość. Zaś jeszcze gdzie indziej podobno wpędzają starców na drzewo i poddają „próbie trzęsienia”, jeżeli nie spadną, wygrają następnym roku życia. Wracając do tytułu felietonu (zwalaszczcza że utrzymałem się na drzewie) doszedłem do wniosku, że starość daje nam

wręcz cudowną możliwość odzwyczajania się, a nawet rezygnacji z pewnych, dość nieraz uciążliwych obowiązków młodości i w ogóle życia. To piękna możliwość powolnego zegnania się prawie bez żalu ze wszystkim, co nas otacza i co coraz bardziej staje się dla nas niezrozumiałe, a bywa, że nawet obce. Jest to powolne i oby bezbolesne zanurzanie się w filozofii przechodzenia na drugą stronę Styksu.

Porzucanie naszych trzech wymiarów (bez fizyki Einsteina) na rzecz – no właśnie, na rzecz czego!? Jakież wspaniałe temat do spekulacji. Można wszak z każdej religii wybrać co smaczniejsze „rodzynki” – przecież

Dobry Pan jest tylko Jeden, a wybór drogi pozostawił na szczęście (albo i nie) samemu homo sapiens.

Na szczęście mądry Stwórca potrafi utrzymać w tajemnicy „co też może być po tamtej stronie”. Zresztą już raz zaufał człowiekowi – było to dawno temu w Edenie. A może, choć ostrożniej – ryzykuje właśnie po raz drugi. A może tajemnica jest konieczna, by ta wiedza nie „rozregulowała” tych naszych mizernych zabezpieczeń zyciowych.

A oto, co na ten temat mówią dużo mądrzejsi ludzie:

\* Arystoteles: „Starość nie jest niczym innym, jak tylko powtórzeniem (po-

noć najmilszego) wieku dziecięcego”.

\* Marc Chagall – „Ludzie, którzy nie potrafią się starzeć, to ci sami, którzy nie umieli być młodzi”.

\* Najgorsze, że „Młodość nie wierz doświadczeniom starych” – tak mówi T. Dołęga-Mostowicz.

\* Zaś Tadeusz Kotarbiński konstataje: „Do tego, by dobrze się działo, potrzebne są młode ręce i stare głowy”.

\* Ale niezrównany G. B. Shaw ostrzeża nas: „Stary ludzie są niezwykle niebezpieczni, przyszłość jest im obojętna”.

**Pozostaję z dużym niedosytem – Stanisław Sroczyński**



## Regionalista

Moje mini-opowieści o ludziach, którzy niewidoczni krążą po ulicach miasta,

którzy odeszli w niebyt, a jednak istnieją, bo istnieją w mojej pamięci, opowieści te nie roszczą sobie prawa do przedstawiania dat, pracy zawodowej, osiągnięć, słowem całej tej przysłówowej ankiety personalnej. Ot, tworzę ich wizerunek z kilku anegdot, z niedopowiedzeń, a przecież chyba rysuję jakieś małe portrety. Powtórzyć za Tadeuszem Konwilkim – „Więc nasza mnie chęć żeby idąc przed siebie, ale jakby wstecz, spotkać jeszcze raz tych, których już nigdy nie spotkam...”

W moich dotychczasowych wspomnieniach nie odważyłem się operować nazwiskami. Wydaje mi się to zrozumiałe. Z drugiej strony takie ograniczenia, pominięcie czegoś ważnego, czasem wręcz kamuflaż, utrudniający identyfikację postaci, pozbawił ją wielu pozytywnów. Bałem się fałszywego odczytania moich intencji. Tu posłużę się słowami Olgi Lipińskiej – „Dla wielu ludzi nie ma większej radości niż ideał, który sięgnął bruku”. Tych „radosnych uczuć” chciałem pozbawić pewnej części czytelników, unikając wymienienia bohaterów moich opowieści z imienia i nazwiska. To jednak nie jest słuszny punkt widzenia.

Dzisiaj chcę powiedzieć kilka słów o Zygmuncie Pęcherskim. Był znany w Koninie. Często gościł na łamach prasy. Podawano jego życiorys, osiągnięcia. A ja, jak zwykle, potraktuję go anegdotycznie.

Było to w czasach, gdy triumfy motoryzacyjne święciła nasza „warszawa”. Przerobiona z radzieckiej „pobiedy”, nosiła bryldką nazwę „garbus”, nawiązującą do jej garbatego kształtu. Po mieście kursowało zaledwie kilkanaście samochodów osobowych, przeważnie owych „warszaw”. Tylko starosta i doktor Pałys licytowali się na bardziej okazałe marki, zaczynając od reprezentacyjnych „wołg”. A Zygmunt kupił sobie „mikrusa”. To było autentyczne maleństwo. Garazowało toto w blaszaku bez dna, postawionym obok bloku w nowym Koninie, gdzie Zygmunt mieszkał. Myśmy mieli świetną zabawę. Cichaczem, w kilku osilków, wyciągaliśmy „mikrusa” spod blachy i stawialiśmy go w pobliskiej piaszkownicy dla dzieci.

Pęcherski miał słaby wzrok. Nosił okulary. Opowiadał mi znajomy, który po raz pierwszy wszedł do rzeczono minisamochodzika. Pęcherski mknął z oszalałą prędkością 50 km/godz., dogania wielki, wolno toczący się wóz z sianem. Pędzi prosto. Znajomy czeka spokojnie na efektywny wiraż, ale widząc niebezpiecznie zmniejszającą się odległość, woła nerwowo: – Zygmunt, przed tobą wóz! – Wóz? Gdzie? – pyta zdziwiony kierowca. Mało kto wie, że stojący przy ul. Kolskiej piętrowy budynek z lat 50., to pierwszy w Koninie dom wybudowany przez Spółdzielnię Mieszkalniową. Jej założycielem i pierwszym prezesem był Zygmunt Pęcherski. Aż się prosi o tablicę pamiątkową z jego imieniem. Poza działalnością zawodową, był Pęcherski zamiłowanym re-

gionalistą. Współtwórcą, z Antonim Studzińskim i Ryszardem Michalskim, pierwszego w dziejach Konina Muzeum Regionalnego. Muzeum działało pod egidą Konińskiego Oddziału PTTK, którego prezesem był także Pęcherski.

Z racji zasług dla spółdzielczości, turystyki i krajoznawstwa udało się znaleźć Zygmunta w gronie osób wytypowanych do wyjazdu wycieczkowego na Krym. Na owe czasy było to wybitnym wyróżnieniem. W działającym w Koninie kabarecie „Koński Ogon” aktorka śpiewała kuplety, wcielając się w rolę żony wycieczkowicza – „...gdy mąż z odczytem o Koninie pojechał aż na Krym...”. Żona Zygmunta, Krysią Pęcherską, przeżyła męża o 30 lat. Sama była animatorką kultury, ściśle związaną z placówkami kulturalnymi miasta. Pracowała z nią razem w Domu Harcerza, w D.K.D. i M. Gdzie prowadziła dziecięce zespoły taneczne, w Pow. Domu Kultury, gdzie zajmowała się teatrem dziecięcym... Trochę przykro, że na jej pogrzebie nie znalazł się nikt z przedstawicieli świata kultury.

Ze względu na wiedzę historyczną i znajomość regionu powoływano często Pęcherskiego do składu komisji sędziowskich, modnych wówczas konkursów wiedzy o Polsce i regionie. Jeden z takich konkursów został zorganizowany dla młodzieży szkół zawodowych. Przebieg konkursu relacjonowałam później Pęcherski – młody człowiek wyciągnął karteczkę z pytaniem: wymień trzech wielkich malarzy polskich! Bez chwili wahania wyrecytował – Matejko! ...i utknął. Widać było wysiłek myślowy młodzieńca. Kropelki potu ukazały się na czole... Wreszcie olśnienie! – Chelmoński! I tu niestety kończyła się jego wiedza o sztuce. – No śmiało! Jeszcze tylko jeden! – zachęcali członkowie komisji. Z trudem wielkim, z wysiłkiem ponad miarę skromnej pamięci, młody człowiek usiłował wybrnąć z niekorzystnej sytuacji. Jujurczka cisza wisi w powietrzu. Niezręcznie czekają. Pustka w głosie odpowiadającego... Nagle widzę – opowiada Pęcherski – jak twarz delikatnie nabiera wyrazu ulgi. Pada przecie nazwisko – Sznajder! i wie pan panie Janie, uznałem mu!

Tak, dzięki Zygmunta Pęcherskiemu i anonimowemu uczniowi szkoły zawodowej, sięgnąłem wyżyn Olimpu.

Jan Sznajder



## Młyn na „Golance”

Na ławeczce ustawionej pod ścianą oficyny domu przy ulicy Trzeciego Maja usiedli jego mieszkańcy. Pod koniec lat pięćdziesiątych spotykali się na niej bardzo często – dzieląc się mniej lub bardziej nieprawdopodobnymi historiami. Gdy jeden ze słuchaczy wiodącemu prym w dyskusji zarzucił pewną dozę fabulacji, najczęściej spotkał się z następującą ripostą: – Co ty możesz wiedzieć? Gdzie ty byłeś? Może, że dwa razy na młynie... i raz na wiatrak! Wówczas pobyt na młynie lub wiatraku – to dla niektórych szczyt możliwości w poznawaniu otaczającego go świata.

Zawieśmy na chwilę powyższe wspomnienia. Na wysokości wsi Rumina, do Warty wpada rzeczka o nazwie Powa, zwana także Pokrzywnicą lub ze swojską Strugą. Patrząc na płynącą wodę trudno uwierzyć, jaka drzemie w niej moc. Jej na pozór leniwy nurt by siłą napędową w trzech młynach mielących zboże w: Starym Mieście, Golance i Niklasie.

Niegdyś – mój tato, w niedzielne popołudnie zdecydował: – Choć pojedziemy – dziś pokażę ci młyn na Golance. Była to wyprawa, że ho, ho... należało rowerem marki „Bobo” (w moim przypadku) jechać w kierunku Starego Miasta, następnie skręcić w drogę prowadzącą na Lisiec Wielki, by po przejechaniu kilkuset metrów wąskim parowem dotrzeć do młyna. Na trakcie częściej spotkało się furmanek zaprzężoną w konia niż samochód.

Na miejscu moim oczom ukazał się niewielki drewniany budynek, obok którego przepływała woda. Z murwanego domu stojącego opodal wyszedł jego gospodarz. Przywitał się z ojcem – z gestów i słów odniosłem wrażenie, że się znali. Młynarz na prośbę taty, z nieukrywaną radością objaśniał, w jaki sposób po podniesieniu stawideł woda wpadała na turbinę obracając ją moźliwie. Którędy wysypywano zboże, by wałce napędzane za pomocą turbiny, meły ziarno na biały puch. Na zawsze pozostałem pod wrażeniem tego urokliwego miejsca. Pojechałem tam jeszcze tylko dwa razy... W pamięci przagnąłem zachować obraz zapamiętany z dzieciństwa. Przez lata wspomnienia uzupełniały luźne rozmowy zaszływane wśród mieszkańców miasta i okolic o altruizmie właściciela młyna: „Panie, żeby pan wiedział ile on w czasie wojny nam pomógł dając mąkę za darmo”.

Zupełny przypadek sprawił, że dowiedziałem się o mieszkającym nie-

daleko potomku rodziny Gundlachów - właścicieli młyna. Poprosiłem o opowiedzenie historii młyna i... zostałem zauroczony oraz przytoczony ogromem wiadomości posiadanych przez Henryka Gundlacha – syna ostatniego właściciela młyna na Golance. Wspomnienia dostosowałem do łamów miesięcznika „Koniniana” – stąd wiele skrótów.

...W 1892 roku Henryk Gundlach – właściciel już od dawna istniejącego majątku na Golance, postanowił dokupić ziemi. Przeprowadzona transakcja umożliwiła jego synowi Aleksandrowi wraz z żoną Augustą pobudować młyn. Mijały lata... Aleksander, podobnie jak jego ojciec, w 1931 roku prawa własności scedował na syna Waldemara. Proces mielenia do 1938 roku przebiegał „tradycyjnymi” metodami - Waldemar, tegoż roku postanowił młyn unowocześnieć przeprowadzając jego remont kapitalny. Wówczas kamienie młyńskie zastąpiły metalowe „wałce”. Od pana Henryka dowiedziałem się, że w przypadku niskiego stanu wody siłą napędową w młynie stanowił „motor gazowy”. Pod gospodarskim okiem Waldemara Gundlacha mąkę mielono do roku 1952. W 1946 młyn, jako „darowizna”, otrzymał repatriant ze wschodu. Upaństwowienie prawie wszystkich gałęzi gospodarki spowodowało, że obiekty przejęły Rejonowe Zakłady Młynów Gospodarczych. Kolejnym nadzorcą był Urząd Gminy, a ostatnim GS Stare Miasto. Zmieniający się „właściciele” doprowadzali młyn do dewastacji, aż w końcu popadł w ruinę...

Zadziwiać może zmieniająca się wraz z upływem czasu wartość poznanych faktów. Dla ówczesnych pobyt w młynie to mało znaczący epizod – uznawany za wręcz wstydlivy. Dla żyjących w dwudziestym pierwszym wieku jest powodem do dumy. Gotów jestem złożyć się o konia z rzędem, że niewielu bywało w młynie lub wiatraku w czasach ich świetności. Mało kto pamięta turkot wozów przywożących zboże. Szum wody spadającej na młyńskie koło, czy szelest wiatracznych śmigieł.

**Włodzimierz Kowalczykiewicz**  
PS. Tereny, o których wspominał, zostaną niedługo zalane przez wody zbiornika retencyjnego. Zanim to się stanie gorąco zachęcam do odwiedzenia miejsc, gdzie dawniej rody Czerwińskich, Gundlachów spokojnie(?) żyć zwydy.



Brawo dla Ani i Bogdana za stworzenie edenu w środku starego Konina

**KONINIANA**  
ADRES REDAKCJI:  
62-510 Konin, ul. Przemysłowa 9,  
tel. 243 77 00, 243 77 03  
Redaguje zespół  
Zarządu Towarzystwa Przyjaciół Konina  
ISSN 0138-0893